

ETYKA W BADANIACH PRZESZŁOŚCI

ANKIETA

Kontekst etyczny badań nad przeszłością na ogół umyka refleksji i nie zostaje bezpośrednio wyartykułowany w powstających tekstach. Tymczasem w procesie badawczym, konceptualizacji pomysłu, zbieraniu materiału, wertowaniu źródeł lub rejestracji ustnych przekazów zostajemy uwikłani, czy też sami wikłamy się, w rozmaite dylematy moralne. O etycznym uwikłaniu i powinnościach badaczy przeszłości więcej możemy dowiedzieć się z rozmów korytarzowych, dzienników i wspomnień niż z tekstów analitycznych. Nasuwa to myśl, że być może mamy do czynienia ze skrywaną, niewyrażoną wiedzą związaną z zagadnieniami etycznymi.

Chcąc zainicjować dyskusję na temat etyki w badaniach przeszłości, Redakcja RAH zaproponowała historykom, antropologom, a także przedstawicielom innych dyscyplin badających przeszłość przedstawienie swoich przemyśleń w tym zakresie. Poprosiliśmy o odniesienie się do problematyki etycznej, stanowiącej lub mogącej stanowić wyzwanie dla badaczy przeszłości w kontekście własnych badań, a także przedstawienie własnych dylematów moralnych powstających w trakcie ich prowadzenia. Zadaliśmy sześć pytań, które naszym zdaniem dotyczą kluczowych kwestii dla podjętego problemu:

1. W jaki sposób Pan/Pani dokonał(a) wyboru pola zainteresowań naukowych, epoki, tematyki, problematyki? (Czy może Pan/Pani wskazać na jakieś czynniki moralne?)

2. Czy w polu Pana/Pani zainteresowań istnieją kwestie sporne, wywołujące emocje i powodujące formowanie ocen natury moralnej? Jakież? Czy Pan/Pani mógłby(mogłaby) takie wskazać, skomentować? Czy rodzi to spory ujawniające się w prezentowanych pracach, książkach, wystąpieniach etc.? Czy Pan/Pani zaangażował(a) się lub czuje, że został(a) zaangażowany(a) w tego typu spór?

3. Czy Panu/Pani zdarza się odczuwać silne związanie z przedmiotem prowadzonych badań, identyfikację z epoką, ludźmi, zdarzeniami? Co z tym Pan/Pani robi? Czy ma to wpływ na prezentowane efekty badań? Czy rodzi to jakieś zobowiązania natury moralnej?

4. Czy Pana/Pani badania mogą mieć jakiś wpływ na współczesność i wywołać jakieś stanowiska lub spory obecnie? Czy Pan/Pani jest tego świadomy(a) i uwzględnia to w swojej twórczości i badaniach?

5. Czy istnieje jakaś zasadnicza różnica pomiędzy gromadzonymi materiałami w trakcie badań a końcowym efektem w postaci zapisanej monografii, artykułu? Czy ma Pan/Pani jakieś doświadczenie, odczucie w tym zakresie? (np. poczucie niepewności, niewyczerpania tematu, jednostronnego ujęcia czegoś, co jawiło się bardziej skomplikowanym, wątpliwego uporządkowania materiału na potrzeby tekstu, wpływu jakiegoś wydarzenia publicznego czy też osobistego na ostateczny tekst).

6. Czy Pana/Pani zdaniem powinniśmy dopuszczać wpływ moralności na badania i umieszczać w tekstach rozważania natury etycznej, czy raczej minimalizować tego rodzaju kwestie? Czy jakaś szczególna etyka powinna wyznaczać zasady postępowania badacza przeszłości? Czy o tego typu powinnościach moralnych naucza się lub powinno nauczać się na uczelniach wyższych? Czy zdarzyło się Panu/Pani słuchać o tego rodzaju wątkach lub samemu poruszać je w trakcie własnej praktyki edukacyjnej?

Powyższy zestaw pytań stanowił w zamierzeniu Redakcji jedynie ramy dla wypowiedzi o problemach moralnych oraz etycznych uwikłaniach i zobowiązaniach, powstających w związku z podejmowaną tematyką i prowadzonymi badaniami. Nie oczekiwaliśmy odpowiedzi na wszystkie pytania. W tym zakresie pozostawiliśmy swobodę. Podobnie jak i do formy wypowiedzi. Zasugerowaliśmy, że może to być odpowiedź na postawione pytania lub dłuższa narracja podejmująca kwestie w nich zawarte. Otrzymałiśmy ankiety, w których autorzy odpowiedzieli na wszystkie postawione pytania, z odpowiedziami na wybrane przez autorów pytania, jak i dłuższe wypowiedzi nimi zainspirowane. Poniżej publikujemy wszystkie nadesłane ankiety, nie ingerując w ich treść i nie wartościując ich w żaden sposób. Analiza zamieszczonych opinii potwierdza ważność i potrzebę głębokiej refleksji nad kontekstem etycznym podejmowanych badań, a także dowodzi, że w przypadku rodzimej historii znajdujemy się dopiero na początku tego rodzaju rozważań.

Dziękujemy wszystkim, którzy zechcieli zainteresować się naszą inicjatywą i włożyli trud w przygotowanie tekstów. Mamy nadzieję, że czytelnicy, pobudzeni być może lekturą poniższych wypowiedzi, zechcą przyłączyć się do dyskusji. Nadesłane na adres Redakcji głosy, uzupełnienia i polemiki opublikujemy w kolejnych numerach „Rocznika Antropologii Historii”.

NATALIA ALEKSJUN

1.

Wybór historii Żydów polskich jako pola zainteresowań był dla mnie w dużym stopniu decyzją osobistą, sposobem zbliżenia się do dziejów własnej rodziny z bezpiecznej perspektywy badacza. Było w tym wyborze wyzwanie intelektualne i pragnienie opowiedzenia o losach społeczności, która jako taka zniknęła z polskiego krajobrazu w tragicznych okolicznościach. Jednocześnie stanowił on swego rodzaju próbę odczarowania milczenia, poznania przeszłości wypartej z przestrzeni publicznej. Zaczęłam stawiać sobie pytania badawcze, patrząc na społeczność żydowską od zewnątrz, ale coraz bardziej pociągało mnie pisanie jej historii od wewnątrz – zwracając uwagę na głosy samych Żydów raczej niż dyskurs na ich temat. W takiej perspektywie, czyli związku z przedmiotem prowadzonych badań, widzę zobowiązanie natury moralnej i zarazem wyzwanie metodologiczne.

2.

Zajmowanie się historią Żydów w Polsce, szczególnie historią najnowszą, właściwie z definicji jest kwestią sporną – bo czy pisać o nich jako o żydowskich Polakach, czy też jako gościach. Czy można pisać o konflikcie i prześladowaniach, o poczuciu odrzucenia i braku przyszłości pokolenia II Rzeczypospolitej bez uderzenia we wrażliwe punkty polskiej pamięci zbiorowej? Staram się, by źródła były moimi przewodnikami.

5.

Kwestia doboru i interpretacji źródeł pozostaje jednym z zasadniczych dylematów metodologicznych w badaniach nad historią najnowszą Żydów, a zarazem wyzwani moralnych dla badacza. Wiele lat temu na seminarium magisterskim na Uniwersytecie Warszawskim przedstawiłam wyniki wstępnych badań na temat powojennej przemocy przeciwko Żydom. Zarzucono mi wówczas w gorącej dyskusji, że opieram się na źródłach żydowskich, które miały być mało wiarygodne w przedstawieniu skali zjawiska. Od tego czasu badacze historii Żydów z mniejszymi oporami posługują się źródłami żydowskimi, choć temat nadal budzi kontrowersje, szczególnie gdy źródła te trudno jest skonfrontować.

Dwadzieścia lat później zmagam się z problemem wyboru źródeł na temat życia codziennego Żydów ukrywających się we wschodniej Galicji w latach drugiej wojny światowej. Sięgam po źródła żydowskie: dzienniki, pamiętniki, ale też powojenne relacje i wywiady, przeprowadzone wiele lat po wojnie. Poza problemem rekonstrukcji owej codzienności na podstawie jednostkowych

doświadczeń i problematyką pamięci o czasie głęboko traumatycznym przyjdzie mi teraz zmierzyć się z dylematem etycznym. Po raz pierwszy chyba tak wyraźnie stanęły przede mną pytania nie tyle o poszukiwanie informacji czy zrozumienie kontekstu. Stworzyłam roboczą listę kategorii i pytań badawczych. Jak opisać rzeczywistość niemożliwych wyborów moralnych? I czy w naukowym artykule i przyszłej książce winny znaleźć się bolesne szczegóły z rozmów z ocalałymi?

BŁAŻEJ BRZOSTEK

1.

Wybór historii XX wieku jako dziedziny badawczej – „historii czasu teraźniejszego”, powiedzieliby Francuzi – bywa naznaczony moralnie. Towarzyszą mu bowiem nierzadko dyrektywy w rodzaju „ochrony pamięci walki i męczeństwa”, zrozumiałe w przypadku społeczeństwa, które przeszło przez dyktaturę, wymazując celowo ze zbiorowej świadomości całe zespoły zjawisk historycznych. Powołaniem badacza wydawać się więc może przewyciężenie tej spuścizny, odsłonięcie historii „żołnierzy wyklętych”, heroizmu ofiar i bezwzględności oprawców. Moralny wymiar mają oczekiwania weteranów (w szerokim znaczeniu), których los może być wreszcie udokumentowany. Na historyku spoczywa zatem powinność opowiadania o zbiorowym losie, powinność wyzwajająca z ograniczeń narzuconych w poprzednich dziesięcioleciach i włączająca go we wspólnotę pamięci. Czy dla mnie wybór specjalizacji w zakresie historii społecznej XX wieku miał tego rodzaju znaczenie? Przeciwnie, obawiałem się podobnych uwikłań. Uważam, że potrafią być szkodliwe dla uprawiania zawodu. Dyrektywy moralne są bowiem w „historii czasu teraźniejszego” zbyt często uwarunkowane spojrzeniem grupowym lub partykularyzmem narodowym. Wiąże się z tym skłonność do stanowczych ocen moralnych, wydawanych przez badacza wobec całych grup, środowisk i tradycji, odległych od jego własnych – oraz jego publiczności – zapatrywań i emocji. W ten sposób także szlachetne motywacje („ochrona pamięci walki i męczeństwa”) stają się dwuznaczne w skutkach i mogą prowadzić do ideologizacji przekazu historycznego.

2.

Ideologizacja ta staje się skądinąd zjawiskiem pożądanym w świecie mediów, jej produkty zaś – w postaci książek czy programów telewizyjnych – mogą być poszukiwanym towarem. Wywieszenie ideologicznego sztandaru powoduje konsolidację grupy odbiorców, absolutyzację jej haseł moralnych i poczucie

„niesienia prawdy”. Zjawisko to nie odnosi się, oczywiście, tylko do „historii czasu teraźniejszego”. Istnieją tematy z zakresu dziejów starożytnych lub średniowiecznych, które w danych społecznościach czy okresach nabierają podobnego znaczenia. Jednak to historia najnowsza jest we właściwym sensie słowa historią żywą, której świadkowie uczestniczą w kształtowaniu się przekazu historiograficznego, a zwłaszcza w publicznych formach upamiętnienia. Wywołuje to ciśnienie emocjonalne i liczne konflikty (w rodzaju sporów o agenturę policji politycznej upadłego reżimu), które wpływają na zawodowe prace historyków, nierzadko dewastując ich warsztat i wprzegając wyniki pracy w logikę doraźnych potrzeb grupowych. Jak się zdaje, unikanie tego rodzaju sprzężeń zależy od samokontroli i zdolności samokrytycznych historyka, który tak czy owak jest sam ze swymi źródłami i sam wobec swej publiczności. Uleganie źródłom i poklaskowi pozostanie jego problemem, którego skutki ujawnią się po latach, gdy opadną emocje doraźnych konfliktów i kampanii, a na placu pozostaną „gołe” teksty, ukazujące rzeczywiste hierarchie umiejętności i wiedzy. Taki los spotyka na ogół badaczy angażujących się w propagandę.

3.

Pozostaje do indywidualnego rozstrzygnięcia, czy badaniu historycznemu winna towarzyszyć emocja, czyli głębsze zaangażowanie, czy obowiązuje imperatyw „szkiełka i oka”. Uznaję znaczenie i wartość emocji historyka, które potrafią prowadzić go przez żmudne nieraz kwerendy i dodawać sił, pozwalają też – bywa – prowadzić pióro w sposób, który zbliży czytelnika do opisywanej epoki, ożywi ją, co należy zresztą do zagadnienia dyrektyw moralnych pracy historyka – ocalić od zapomnienia, wskrzesić, przywrócić obrazy ludzi i miejsc. Innymi słowy, widzę pozytywną wartość emocji, jeśli pobudzić potrafią wartościowe chęci poznania. Negatywne emocje, nierzadko spotykane w pracach historyków, mają inny charakter: wiążą się przeważnie z przesądami, z jakimi zabierają się oni do pracy. Przesady te są zwykle ocenne: dane postaci, grupy czy zjawiska należy opisywać, aby odsłonić w pełni ich godne potępienia cechy lub przeciwnie – postawić na piedestale. Jest to historia zaangażowana w bieżące spory i podziały polityczne. Towarzyszące jej emocje łączą się doskonale z emocjami towarzyszącymi wyborom, kampaniom politycznym czy walkom partyjnym.

4.

Każda praca historyczna może mieć wpływ na współczesność (w drobnej skali, przez sam fakt zyskania czytelników), zaś w zakresie historii najnowszej wpływ ten staje się znacznie bardziej prawdopodobny, nierzadko (*vide* punkt 3) zupełnie zamierzony. Tematyka, którą się zajmowałem i zajmuję – historia społeczna robotników, przestrzeni publicznej miasta, jedzenia, komparatystyka

polsko-rumuńska – nie należy do elektryzujących dla szerszej publiczności. Jak sądzę, nie grozi mi wywołanie większych sporów, co uznaję zresztą za sytuację pożądaną.

5.

Pytanie o „zasadniczą różnicę pomiędzy gromadzonymi materiałami [...] a końcowym efektem w postaci zapisanej [?] monografii [...]” jest pytaniem o sens tworzenia narracji historycznej. Jeśliby takiej różnicy nie było, sens ten by nie występował. Niestety – czasem się tak zdarza; wtedy gdy monografia ma wartość zlepku tekstów źródłowych. Pytanie wydaje mi się niejasne.

6

Nie jestem przeciwny wypowiedaniu przez historyka osądu moralnego. Musi on być jednak ostatnim ogniwnem badania. Musi być wyrażony wprost jako stanowisko osobiste, nie zaś rozproszony w narracji, narzucający się jako prawda. Musi zostać przedstawiony na odpowiednim poziomie argumentacji i zastrzeżeń. Musi być wolny od bieżących uwikłań politycznych. Przede wszystkim zaś osąd moralny, często uznawany przez jego autora za oczywisty, jest przeważnie uzależniony od grupowego spojrzenia na dane zjawisko i od czasu, w którym powstał. Zamiast więc wybrzmieć potężnie i nadać wymiar dziełu, spada do rangi bieżącej publicystyki. Może wypadnie zatem zrobić następujące uogólnienie: na taki osąd mogą sobie pozwalać osoby o znacznym doświadczeniu i samowiedzy. Dotyczy to zresztą sedna problematyki tej ankiety.

TOMASZ CHINCIŃSKI

1.

Do zajęcia się problematyką początku drugiej wojny światowej skłonił mnie spór o przebieg wydarzeń bydgoskich z 3 i 4 września 1939 roku, nazwanych przez propagandę nazistowskich Niemiec „bydgoską krwawą niedzielą”. Wydarzenia te są odmiennie przedstawiane przez stronę polską i niemiecką. Zapoznając się z pracami historyków polskich i niemieckich, odniosłem wrażenie, że ma się do czynienia z opisem dwóch różnych wydarzeń. Różnice dotyczyły zasadniczych faktów, takich jak strzały Niemców „zza węgła” do wycofujących się oddziałów Wojska Polskiego i polskiej ludności cywilnej Bydgoszczy, czyli niemieckiej dywersji, i liczba ofiar wśród bydgoskich Niemców.

Kiedy zacząłem dogłębniej analizować literaturę przedmiotu, zauważyłem, że generalnie działalność dywersyjna, sabotażowa i wywiadowcza prowadzona

przez niemieckie służby specjalne w Polsce w 1939 roku wzbudza wiele kontrowersji w kontekście toczącej się debaty nad oceną drugiej wojny światowej. Doszedłem do przekonania, że wyjaśnienie tych kontrowersji jest możliwe dzięki przeprowadzeniu rzetelnej kwerendy i analizy źródeł. Byłem świadomy, że ta praca może mieć znaczenie dla poprawienia stosunków polsko-niemieckich w dziedzinie wspólnej świadomości o historycznej przeszłości. Aby mógł nastąpić dialog w obszarze pamięci historycznej, potrzeba rzetelnych badań spornych zagadnień.

Wychodząc z założenia, że najlepszym sposobem wyjaśnienia spornych kwestii są badania naukowe, byłem jednym z inicjatorów oraz sekretarzem powołanego w Bydgoszczy i działającego w latach 2003–2007 Zespołu badawczego, który zajmował się wydarzeniami bydgoskimi z 3 i 4 września 1939 roku. Jego celem było pełne wyjaśnienie genezy i przebiegu wydarzeń nazywanych „bydgoską krwawą niedzielą” oraz opublikowanie na ich temat zbioru studiów i dokumentów. W 2008 roku ukazała się publikacja będąca efektem tych badań¹.

Wyjaśnieniu spornych kwestii miał także służyć mój indywidualny projekt badawczy dotyczący działalności niemieckich tajnych służb w Polsce w 1939 roku. W związku z zainteresowaniami badawczymi prowadziłem liczne kwerendy archiwalne w Berlinie, we Fryburgu Bryzgowijskim, w Londynie, Moskwie i Warszawie, a w 2010 roku opublikowałem monografię naukową będącą wynikiem tych badań².

Wydaje mi się, że prowadzone z moim udziałem i przeze mnie badania przyczyniły się do wyjaśnienia kontrowersji w obszarze świadomości historycznej Polaków i Niemców, przewyciężenia nieporozumień dotyczących przeszłości, ale także stały się przyczynkiem do toczącej się debaty nad oceną drugiej wojny światowej i istoty systemów totalitarnych. Swoje przekonanie czerpię z recenzji moich prac napisanych przez polskich i niemieckich historyków. Mam jednak również pełną świadomość niedoskonałości wyników przeprowadzonych badań. Przede wszystkim niekompletny stan zachowanych źródeł (czasami mimo ich dużej objętości) utrudnił w niektórych spornych kwestiach ich precyzyjne, zgodne z wymogami nauki historycznej, opisanie. W takich sytuacjach pozostawały odwołanie się do procesu poszlakowego i zdroworozsądkowa ocena zachowanych materiałów źródłowych. Kluczową kategorią interpretacji musiało być prawdopodobieństwo, a nie całkowita pewność, lecz nie jest to sytuacja rzadka w badaniach historycznych.

¹ *Bydgoszcz. 3–4 września 1939. Studia i dokumenty*, red. T. Chinciński i P. Machcewicz, Warszawa 2008.

² T. Chinciński, *Forpocza Hitlera. Niemiecka dywersja w Polsce w 1939 roku*, Gdańsk–Warszawa 2010.

2.

Na to pytanie odpowiedziałem powyżej.

3.

Zdaję sobie sprawę, że historyk, podejmując badania nad przeszłością, powinien wypracowywać dystans do podejmowanego pola zainteresowań naukowych. Powinien próbować z chłodnym dystansem odczytywać i interpretować materiały źródłowe, dążąc do ustalenia prawdy historycznej, na ile jest to możliwe w badaniach nad przeszłością.

4.

Prowadzone przeze mnie badania nad historią relacji polsko-niemieckich mogą i powinny mieć wpływ na współczesność. Do wyjaśnienia spornych kwestii z przeszłości najlepszą drogą są badania naukowe oraz rzeczowa i rzetelna debata. Dociekanie prawdy historycznej, o ile jest rzetelnie robione, powinno ułatwić przynajmniej zrozumienie trudnej przeszłości.

5.

Pogłębiania w trakcie prowadzonych badań wiedza oraz upływ czasu (dystans do źródła) z pewnością mają wpływ na interpretację wyników zapisywanych w monografiach i artykułach. Według mnie najlepszą drogą do osiągnięcia pogłębionych i dojrzałych interpretacji wyników badań w końcowych monografiach jest publikowanie i analizowanie cząstkowych efektów swoich prac oraz poddawanie ich debacie.

6.

Podejmując badania nad przeszłością, stawiam sobie za cel rekonstrukcję obrazu, który byłoby bliski prawdzie historycznej. Obraz ten powinien być wynikiem krytycznej analizy źródeł historycznych. Wychodzę z założenia przekazanego mi przez moich mistrzów i nauczycieli, że stałym zadaniem i obowiązkiem moralnym historyka jest poszukiwanie prawdy. Pamiętam jednak przy tym zawsze o postawieniu krytycznych pytań, nie tylko wobec przeszłości, ale w stosunku do własnego warsztatu: co jest ową prawdą historyczną i jak do niej mam odnieść się jako historyk? Nie unikam stawiania sobie wątpliwości zawartej w pytaniu, które ongiś podsunał mi jeden z moich wielkich autorytetów naukowych – prof. Władysław Zajewski – czy historycy piszą prawdę?

JACEK DĘBICKI

1.

Jeśli chodzi o rzeczony wybory, nie uzmysławiałem i nie uzmysławiam sobie czynników moralnych. Odkąd pamiętam, czuję więź z moim regionem rodzinnym (na tle krain sąsiednich), czyli historycznym Śląskiem (a więc „krajem pomostowym”), gdzie mieszkam od urodzenia. I lubię historię. Nie wiem, dlaczego skupiam się na czasie od XVI do połowy XIX wieku; tak jak nie wiem, dlaczego nie interesuje mnie np. starożytność (jako tradycyjna epoka historyczna). Przy tym być może symptomatyczne jest to, że zajmuję się m.in. sprawami etniczno-językowo-kulturowo-narodowościowymi. Gdy przed około 20 laty zacząłem bliżej interesować się przeszłością Śląska, uderzający i niepociągający dla mnie był sposób przedstawiania tych kwestii. Nie sądziłem, że kiedykolwiek się tym zajmę. Tymczasem, w zmienionych warunkach politycznych, te kwestie okazały się nader złożone, różnorodne i – ciekawe (przynajmniej, ale chyba nie tylko, dla mnie).

2.

Co do mnie, mogę odpowiedzieć: „Nie”. A z naukowego i popularyzatorskiego punktu widzenia wolę się tym nie interesować. Znam jednak sytuację ze schyłku poprzedniej dekady, gdy w polskim wydawnictwie akademickim decydentowi nie całkiem odpowiadało – pod względem społeczno-narodowym – podsumowanie badań socjologicznych w przeznaczonej do opublikowania pracy naukowej; skutkiem tego jej autor dokonał lekkiej autocenzury.

3.

Człowiek – w tym historyk – ma płęć, życiorys, narodowość, światopogląd, zapatrywania polityczno-społeczno-obyczajowe itp. W trakcie pracy badawczej ideałem byłoby istnienie przycisku, którym można by te funkcje wyłączyć. To niemożliwe; warto jednak mieć świadomość, że im bliżej owego ideału, tym lepiej. Staram się kierować ku temu. Poza tym dla historyka cenne jest wczuwanie się w tzw. realia epoki, czemu sprzyja wiedza o niej.

4.

„Historia jest nauczycielką życia” – to ewentualna przyjemniejsza strona skutków naszego fachu. Tego jestem świadomy i raczej nie uwzględniam w swych poczynaniach naukowych. Aczkolwiek byłoby miło mi, gdyby one czasem miały ten efekt i aby w ogóle nie służyły ideologii.

5.

Pod względem sedna niniejszej ankiety – nie.

6.

Na pierwsze dwa pytania nie czuję się na siłach odpowiedzieć tu. Co do pytania trzeciego, wydaje się mi, że warto mówić o tym na akademickich zajęciach dydaktycznych, może nawet w ramach osobnego przedmiotu (tak jak kwestie etyczne są – lub postuluje się, aby były – rozważane podczas kształcenia na niejednym innym kierunku studiów). Jeśli chodzi o pytanie czwarte – na zajęciach dydaktycznych zdarzało się mi mówić to, o czym wspomniałem w punkcie 3 niniejszej ankiety; czyli, naukowo działam jako np. nie: mężczyzna/kobieta, Polak/Niemiec, patriota/kosmopolita, regionalista/państwowiec – lecz jako badacz przeszłości.

ANNA MULLER

1.

Zarówno w pracy akademickiej ze studentami, jak i w pracy na przygotowywaniu części wystawy w Muzeum II Wojny Światowej niejednokrotnie stykam się z moralnymi pytaniami czy wątpliwościami. Takie problemy pojawiają się nie tylko w typowej dla historyka pracy nad treścią jakiegoś dokumentu, ale również zastanawiając się nad źródłami pod kątem ich przydatności na wystawie, informacji, jakie dany materiał za sobą niesie, czy wpływu danego materiału na studentów, odbiorcę wystawy czy czytelników. Odkrycie ciężaru etycznego i moralnego, jakie niesie ze sobą historia, było jednak wtórne w stosunku do moich zainteresowań.

Historia mówiona (*oral histories*), którą zajmuję się od wielu lat, w sposób nieuchronny prowadzi z czasem do postawienia sobie wielu etycznych czy moralnych pytań, zarówno dotyczących prawdy w historii, prawa świadków historii do bycia wysłuchanym, bez względu na zajmowane miejsce i rolę w danym zdarzeniu, jak i prawa i odpowiedzialności historyków za wywoływanie nierzadko bardzo traumatycznych wspomnień. Z podobnymi problemami zetknęłam się, obcując z czasem bardzo intymnym obrazem historii zawartym w listach czy grypsach więźniów obozów koncentracyjnych, dziennikach czy wspomnieniach więźniów, czy w końcu być może najtrudniejszym źródle, a mianowicie raportach informatorów celowych zawartych w teczkach osobowych, znajdujących się obecnie w archiwach IPN-u. Podobny wymiar ma również moja praca nauczyciela akademickiego czy historyka pracującego

w Muzeum. Jaki jest cel pokazywania czy dzielenia się tą intymną, bardzo osobistą, niejednokrotnie trudną wersją historii? Jakie uczucia czy refleksje wywołują zdjęcia czy materiał pokazujące przemoc czy śmierć? Jaki to ma wpływ na młodych ludzi? W końcu, co kryje się za wizją historii, którą propagujemy np. na wystawach historycznych, wykładach czy w publikacjach?

2.

W polu moich zainteresowań istnieje dużo zagadnień, które wywołują emocje. Sporo pytań i wątpliwości wiąże się z praktyką *oral history* oraz w trakcie prac na wystawę muzealną. Niewątpliwie jednak nawet w pracy akademickiej i badawczej pojawiają się moralne i etyczne wątpliwości, jest to np. problem tego, w jaki sposób czytać raporty informatorów celowych czy protokoły przesłuchań z więźniów stalinowskich. Z jednej strony jest obawa/ryzyko/tendencja do oceniania zachowań opisywanych w tego typu dokumentach. Z drugiej strony pewną trudnością jest konceptualizacja materiału, który bazuje na ludzkich słabościach, momentach załamania, czy nawet donoszenia na innych. Jaką wartość poznawczą nam to przynosi? Na podobny problem wskazują np. prośby moich rozmówców w ustaleniu informatorów, którzy donosili bądź mogli donosić na nich w czasie uwięzienia. Jaką wartość wnosi taka wiedza? Jak odmówić pomocy osobom, które dzielą się z nami swoim życiem? I czy próba znalezienia odpowiedzi na podobne pytania nie jest przekroczeniem kompetencji historyka?

Podobne zagadnienia podejmuję na co dzień w pracy ze studentami, zarówno w trakcie omawiania roli historyka, metodologicznych problemów z materiałem, jak i problemów z zakresu filozofii historii i edukacji.

3.

Nie odczuwam identyfikacji z badaną epoką, lecz bardzo często emocjonalnie reaguję na osoby, z którymi przyszło mi prowadzić wywiad. Wywiad *oral history* niejednokrotnie prowadzi do wykształcenia się bardzo bliskiej relacji pomiędzy osobą przeprowadzającą rozmowę i rozmówcą. Starając się zachować dystans historyka, a jednocześnie mając świadomość, jak bardzo subiektywna jest często ta relacja, zadaję sobie pytania, które w sposób oczywisty dotyczą moralnej strony podejmowanych badań. *Oral history* zależy od relacji pomiędzy dwoma osobami, niejednokrotnie wręcz od wzajemnych sympatii czy antypatii, nawet jeśli jako historycy staramy się tego uniknąć czy przynajmniej zminimalizować. W czasie rozmowy z byłymi więźniarkami obozów koncentracyjnych czy stalinowskich więzień musiałam odgrywać pewne role czy też byłam postrzegana w bardzo różny sposób: raz byłam obiektywnym historykiem, który pojawił się, żeby wreszcie powiedzieć prawdę,

raz wnuczką, której można przekazać tajemnicę, raz uczniem, który nic nie wie, ale ma chłonny umysł, więc warto z nim rozmawiać. Były to role, które często wynikały z oczekiwań względem mnie, ale również wobec efektów, jakie może przynieść dana rozmowa. Wszystkie te sytuacje i oczekiwania wpływają na jakość rozmowy, otwartość, otrzymywane odpowiedzi czy zakres dostępu do domowych archiwów. Oczywiście rodzi to szereg zobowiązań i pytań natury moralnej, np. na ile możemy wchodzić czy identyfikować się z tymi rolami, na czym budować wzajemne zaufanie oraz na ile dana sytuacja determinuje przebieg i rezultat rozmowy.

Po raz pierwszy zdałam sobie z tego sprawę w trakcie lektury fascynującej książki Daniela Jamesa pt. *Maria Donia Story*, gdzie w jednym fragmencie James porównuje swoją otwartą i przyjacielską relacją z Dona Maria, argentyńską robotnicą, do rozmowy z anonimowym zatwardziałym peronistą w średnim wieku. W przeciwieństwie do głębokiego zrozumienia, które narodziło się pomiędzy Jamesem a Maria, jego spotkanie się z peronistą wzbudziło w nim poczucie dyskomfortu, którego nie pokonał. Mimo tego głęboka etyczna i moralna refleksja dała mu głębsze zrozumienie *oral history* i tego, do jakiego stopnia rezultat badań niejednokrotnie zależy od tego, kim jesteśmy w danym miejscu i czasie.

Wracając jeszcze raz do zagadnienia *oral history* – ważnym elementem uczenia o wywiadach, o zagadnieniu pamięci, jest uczenie o odpowiedzialności historyka nie tylko wobec czytelników, ale również wobec ludzi, którzy podzieliли się z nami swoją historią. Ostatnia lektura fascynującego zbioru wywiadów na temat Czarnobyla autorstwa Svetlany Alexievich uświadomiła mi głęboką odpowiedzialność, którą ponosi historyk wywołujący wywiady, za wszystkie poruszone w czasie rozmowy emocje, że przypomnienie najbardziej traumatycznych wydarzeń, za ludzi, którzy obdarowując nas swoją historią, zostają z często traumatyczną historią sami. W podobnej sytuacji pozostaje historyk, który słuchając, ucząc się cierpliwości, wrażliwości na innych, musi sobie poradzić zarówno z uzyskaną wiedzą, jak i z poczuciem swoistej bezsilności wobec cierpień innych.

6.

Nie mam wątpliwości, że wpływ różnych pytań moralnych czy etycznych na badania jest bardzo duży. Nie mam też wątpliwości, że kwestie te, jako że nieuniknione, powinny być podejmowane. Bardzo często zagadnienia moralne, dylematy, które pojawiły się w trakcie lektury poszczególnych dokumentów źródłowych czy w trakcie pracy nad jakimś zagadnieniem badawczym, stanowią ważne tło, które zmusza do metodologicznej i filozoficznej refleksji nad praktycznym i teoretycznym wymiarem pracy historyka.

DANIEL WOJTUCKI

1.

Zainteresowania historią towarzyszyły mi „od zawsze”. Nie miałem problemu z ukierunkowaniem tematyki badawczej. Przystępując do kolejnych etapów kształcenia, miałem jasno sprecyzowane cele i zadania badawcze.

2.

W polu moich zainteresowań badawczych leży m.in. kwestia kary śmierci oraz osób ją wykonujących. Tematyka ta niewątpliwie i dziś dzieli społeczeństwo, chociaż można obserwować zainteresowanie śmiercią. Z jednej strony wzbudza lęk i obawy, ale z drugiej zainteresowanie odbiorców, których w danym momencie ona nie dotyczy.

3.

Historyk zmuszony jest zadawać pytania i szukać na nie odpowiedzi w materiale źródłowym. Najlepiej jednak, aby nie kierował się emocjami. Oczywiście, aby poznać daną epokę, ludzi, wydarzenia, należy próbować ją jak najlepiej poznać i „wczuć” się w klimat tamtych czasów.

4.

Prowadzenie badań nad funkcjonowaniem dawnego wymiaru sprawiedliwości i związanych z nim systemem kar znajduje przełożenie na czasy współczesne. W Europie (w jednostkowym przypadku) nadal orzeka się i wykonuje karę śmierci. W dyskusji społecznej odzwierciedlenie znajduje również okoliczności, w jakich należałoby zastosować przymus fizyczny (tortury). Debata w obu tematach trwa od lat ze względu na różne uwarunkowania polityczne czasów współczesnych.

5.

Odczucie, iż temat nie został do końca wyczerpany, dopracowany, może towarzyszyć każdemu badaczowi przeszłości, w przypadku niekompletnego materiału źródłowego, co w prowadzonych przeze mnie badaniach zdarza się dość często. Historyk jest wówczas zmuszony do szukania analogii i przykładów z innych obszarów, które zazwyczaj są dość trafne.

MARTA KURKOWSKA-BUDZAN

SKRAWKI BEZ POINTY I MORAŁU

Odpowiadając na ankietę, chcę podzielić się swoimi pytaniami i wątpliwościami, które wynikły podczas moich badań lub zostały wywołane w rozmowach z kolegami i ze studentami. Są to pytania dotyczące głównie warsztatu, samego procesu szperania i potem porządkowania oraz zapisania wyszperanego, odkrytego, zinterpretowanego. Pytania być może naiwne i zaśmieje się niejeden antropolog, bo są pewnie codziennością jego pracy. Nie są jednak oczywistością w środowisku „historyków dziejów najnowszych” (jak to się tradycyjnie określa) – tych, którzy próbują znaleźć swoje miejsce gdzieś między antropologią a tradycyjną historiografią zdarzeniowo-polityczną. To znaczy, według mnie, nie wszyscy je sobie zadają, jeszcze mniej próbuje na nie odpowiedzieć, a już na pewno niewielu z nas zadaje sobie trud, żeby rozwiązać je w praktyce.

Przyjmujemy, że historyk poszukuje prawdy o przeszłej rzeczywistości. Historyk dziejów najnowszych, kiedy już dokona wyboru (etycznego, a jakże!) tematu i zakresu źródeł, chcąc nie chcąc, swoimi badaniami doprowadza do konfrontacji tego, co ustalił w oparciu o źródła pisane, z doświadczeniem i pamięcią tych, których wspólną przeżywaną rzeczywistość opisał (wyjaśnił, zinterpretował – w zależności od paradygmatu poznawczego). Czy „prawda dokumentu” jest taka sama jak „prawda doświadczenia” lub „prawda pamięci”? Oczywiście nie i nie jest to powodem do rozterek moralnych. Ten stan rzeczy łatwo jest przecież racjonalnie czytelnikowi czy słuchaczowi wytłumaczyć. Tylko że, wydaje mi się, rzadko to robimy. Mamy skłonność do absolutyzowania naszych (naszych – jako członków cechu historyków) wniosków o przeszłości, stawiania ich ponad osobiste doświadczenie jednostek, które przecież tę przeszłość tworzyły. Jeżeli doświadczenie, lub raczej pamięć o nim, nie wpisuje się w historyczną interpretację bazującą na dokumencie, wtedy jest tylko lekkim „wspomnieniem”, „anegdotą”, „gawędą” bądź w ogóle lekceważonym błędem pamięci. Jeśli współgra – awansuje do miana „relacji świadka”. W ten sposób, jeden z wielu zresztą, dokonuje się osąd historii ustalający hierarchię ważności losów, wyborów i związanych z tym emocji ludzkich. Od autoprezentacji „Ja, jako historyk” rozpoczyna się rozstrzyganie w ostatniej instancji: „wiem, bo czytałem w ważnych dokumentach, wiem, bo znam mechanizmy polityczne, wiem i wytłumaczę wam wasze życie”. Alessandro Portelli, włoski humanista, pisze: „Historycy mogą być zainteresowani rekonstrukcją przeszłości; narratorzy są zainteresowani przedstawieniem jej obrazu. Stąd historycy często dążą do ustalenia linearnej, chronologicznej sekwencji; rozmówcy zaś mogą być bardziej zainteresowani w prowadzeniu i zbieraniu wiązek znaczeń, odniesień i tematów, w poprzek liniowego

przedziału ich życia”³. Powyższy cytat odnosi się do praktyki *oral history*, ale wydaje mi się, że twierdzenie to ma uniwersalny wymiar. Tak właśnie traktujemy wszelkie źródła – ustalamy sekwencje, arbitralnie układamy je w swoje ciągi logiczne. Historią jest to, co daje się ująć w nasze tradycyjne historiograficzne metafory – wszystko, co poza tym, jest marginalne, „niehistoryczne”.

Jeszcze jedna wątpliwość: Żyjący ludzie, którzy, czy to w zbiorowości, czy indywidualnie, stają się naszym „obiektem badań”. Czy wobec tego nie powinno się tu już stosować standardów etycznych właściwych naukom społeczno-biologicznym? W USA od połowy lat czterdziestych XX wieku projekty z dziedziny *oral history* podlegają sprawdzeniu przez działające na mocy prawa federalnego lokalne komisje etyki naukowej. Stojąc na straży praw człowieka, komisje te zazwyczaj proszą badaczy o przedstawienie kwestionariusza wywiadu, sprawdzając go pod kątem pytań, które mogłyby postawić rozmówcę w sytuacji „niekomfortowej”, mogłyby go „psychicznie zranić” lub stanowić zamach na jego godność. Zazwyczaj komisje także zalecają badaczom anonimizację rozmówców, mając na uwadze ochronę danych osobowych i ich osobiste bezpieczeństwo, co jednak stoi w sprzeczności ze standardem amerykańskiej *oral history*, który każe występować narratorom pod pełnym nazwiskiem. Antropolodzy, socjologowie na całym świecie nie mają z tym problemu, natomiast dla historyków ukrycie tożsamości autora wypowiedzi (w historii mówionej bardzo często określanego jako „świadek”) podważa jego wiarygodność. Dodajmy szczerze – wiarygodność także, a może przede wszystkim samego historyka w oczach jego środowiska. Obnażamy zatem ludzi, mając na uwadze przede wszystkim nasze profesjonalne cele. Obnażamy ich nie tylko w bezpośredniej sytuacji „wywołanego źródła” (mimo że powinniśmy, i większość to robi, uzyskać formalną, pisemną zgodę na wywiad), ale również poprzez bezpardonowe wykorzystywanie osobistych źródeł zastanych (fotografii, listów, dzienników). Czy są granice odkrywania? Czy są granice interpretacji? Jak daleko można się posunąć w szperaniu w czyimś doświadczeniu, emocjach, wartościach? Nie zadawałam sobie tego rodzaju pytań, dopóki pracowałam ze źródłami pisanymi. Pojawiły się jednak już przy pierwszych wywiadach, które prowadziłam w Jedwabnem. Powracają odtąd natrętnie, zawsze gdy mam bezpośrednią styczność ze „świadkami” (celowo używam cudzysłowu), ale również wtedy, gdy czytam osobiste teksty sprzed wielu lat. To pensjonarskie, egzaltowane, ale wydaje mi się, że jednak czasem warto pomyśleć o autorach źródeł, o ludziach z przeszłości jak o ludziach właśnie. Równych nam, z całym bagażem tego

³ A. Portelli, *The Death of Luigi Trastuli and Other Stories. Form and Meaning in Oral History*, Albany 1991, s. 68

ustalenia. Być może nie takim samym, ale tak samo jak my obecnym, tyle że wcześniej. Profesor Jerzy Eisler powiedział w lutym 2011 roku, podczas konwersatorium Instytutu Studiów Politycznych PAN, że nie akceptuje – z powodów etycznych – w języku historyków współczesności słowa „likwidacja” (agenta, kolaboranta, zdrajcy etc.) Według mnie używanie tego określenia jest nie tylko dobrym przykładem przejmowania przez historyków języka źródeł, ale jednocześnie mówi o tym, jaka przepaść emocjonalna dzieli badacza od badanego świata, który zaludniony „historycznymi”, czyli odhumanizowanymi już, postaciami: bohaterami i zdrajcami, kolaborantami, agentami, żołnierzami...

Jest wreszcie cała gama problemów, z którymi spotyka się historyk dziejów najnowszych, kiedy publikuje swoje badania i interpretacje. Jest dobrą praktyką w *oral history*, aby autoryzować wywiady, rozmawiać o interpretacjach, przedstawić bohaterom (czy to indywidualnym, czy zbiorowym – tu także społecznościom lokalnym) ostateczne dzieło. Można zadać sobie pytanie, czy takie negocjowanie historii nie prowadzi do tworzenia panegiryków. Zazwyczaj kiedy przedstawiam się jako historyk w trakcie pracy nad czymś, ludzie są przekonani, że będzie to historia sławy i chwały. Potem następują rozczarowania i przykre czasem towarzyskie konsekwencje niezrozumienia idei krytycznej interpretacji czy w ogóle prawa do niej.

Na koniec zapytam: Czy w Polsce czujemy potrzebę ustalenia pisemnego standardów zawodowych, tak jak to zrobiło Amerykańskie Towarzystwo Historyczne? (<http://www.historians.org/pubs/Free/ProfessionalStandards.cfm>)

Mam wrażenie, że milcząco zakładamy, że na etapie formalnego, uniwersyteckiego kształcenia historyk dowiaduje się wszystkiego. Owszem, studenci pracują na seminariach pod kierunkiem mistrzów, którzy niewątpliwie dają przykład i uczą, czym są profesjonalizm i etyka zawodowa. Uczelnie zobowiązane są także do przeprowadzenia obowiązkowych kilkugodzinnych szkoleń z zakresu prawa autorskiego. Ale co z tymi, którzy historię uprawiają bez formalnego wykształcenia?

MICHAŁ JANUSZKIEWICZ

HUMANISTYKA, HERMENEUTYKA, ETYKA

ROZWAŻANIA W ODPOWIEDZI NA ANKIETĘ

Wybór problematyki badawczej nierozdzielnie związany był w moim przypadku z czynnikiem osobistym⁴. Tak zresztą wyobrażam sobie humanistykę

⁴ Ma rację Henryk Markiewicz, umieszczając mnie w nurcie tzw. „literaturoznawstwa

z jej Diltheyowskim postulatem rozumienia kultury, a więc tego, co można nazwać światem. Ów „świat” nie jest przecież tak po prostu przedmiotem dostawionym do podmiotu, ale jest tym, do czego sam już przynależę. Owa przynależność oznacza zarazem szczególnego rodzaju usytuowanie, Heideggerowskie *Geworfenheit*, które odkrywa przede mną jakiś aspekt świata, wyznacza tematy moich zainteresowań. Te zainteresowania można określić jako „bycie-przy”, to, przy czym zawsze jesteśmy na podstawie zarówno „wyłożoności” świata wobec nas, jak i naszych doświadczeń, przeżyć, obsesji, problemów, tematów czy wartości, a wreszcie moralnych niepokojów.

Nie wyobrażam sobie humanistyki w izolacji od etycznego wymiaru bycia w świecie. Wynika to m.in. z hermeneutycznego przekonania o potrzebie przekształcenia dualistycznego rozszczepienia na podmiot i przedmiot – w rozmowę. To, co badane, nie oznacza wtedy obszaru tego, co przedmiotowe, ale przekształcone zostaje w rozmówcę, partnera dialogu. Widać to wyraźnie na gruncie spotkania z tekstem: nie jest on, jak widział to Platon, martwą mową, raz i na zawsze ustaloną sekwencją znaków, pismem, które mówi tylko to, co mówi. Przeciwnie, tekst, jak pokazuje to np. Hans-Georg Gadamer, winniśmy traktować już zawsze jako odpowiedź na pytanie, do którego pragniemy dotrzeć w akcie interpretacji. Z drugiej strony, tu chciałbym wyjść zdecydowanie poza Gadamera, tekst staje się dla interpretatora również przedmiotem swoistego gwałtu. Tylko wtedy może on do nas przemówić. Przemawia jednak naszymi własnymi słowami, naszymi obsesjami i osobistymi tematami, których jest rewelatorem, jak powiedziałby Andrzej Szahaj, „wyzwalaczem”⁵. Zarazem wszakże spotkanie z tekstem oznacza gotowość do rewizji tych osobistych mniemań i przedsądów, gotowość na to, co niespodziewane, inne, nieoczekiwane. Tak więc relację między podmiotem a przedmiotem zastępuje relacja wzajemnego zawikłania, transakcji, szczególnej wymiany: nie jest tak, że między interpretatorem a interpretowanym istnieje tylko jednostronny ruch ku interpretowanemu; dzieje się także na odwrót: interpretator sam jest interpretowany przez to, ku czemu się zwraca: nie jest ono już żadnym przedmiotem, lecz staje się swoistym „ty”. Kim jestem w obliczu Innego? Kim jest ten, kto rozumie? Co się właściwie dzieje w trakcie rozumienia? Kim/czym jest to, co rozumiane (drugi człowiek, ja sam czy tekst)? Rozumiejące pytanie o tożsamość, o to kim jestem ja i kim jesteś ty, przynależy do obszaru etyki. Nie mogę bowiem pytać o swoją tożsamość, nie odnosząc się do Innego – i na odwrót. W ten sposób zostaje przełamane odosob-

subiektywnego” czy „osobistego”. Nie sędzę wszakże, aby czynił to z tych samych powodów, co ja. Vide: id., *Czytając ankietę „Tekstów Drugich”*, „Dekada Literacka”, 2010, nr 4–5.

⁵ Vide: A. Szahaj, *Siła i słabość hermeneutyki*, „Teksty Drugie”, 2012, nr 1–2.

nienie czy atomizacja tego, co indywidualne. Ja rozświećła się (i zarazem zaciemnia) jedynie w perspektywie Ty. Rozumienie nie jest formą zawłaszczenia, opanowania, pełnej transparencji, lecz stanowi raczej dialektykę zawłaszczania i wywłaszczania, nieusuwalne i dynamiczne napięcie tworzone zarówno przez wiarę, ufność i miłość, które niosą ze sobą możliwość wynajdywania i odkrywania sensu, jak i podejrzliwość, niepokój i niepewność, które w tej samej chwili ów sens zasłaniają, zaciemniają i wymazują⁶.

Etyczny wymiar humanistyki to także konsekwencja konstatacji, że dotychczasowe wymogi uprawiania nauki i warunki teorii (np. depersonalizacja podmiotu epistemologicznego, obiektywizacja przedmiotu badanego, neutralność metody, ahistoryczność i weryfikowalność), które zostały sformułowane na gruncie scjentyzmu, są nie tylko nie do utrzymania, ale zdają się niebezpieczne dla duchowego wymiaru humanistyki⁷. W tej sytuacji, gdy humanistyki nie legitymizują dłużej obiektywistyczne normy, funkcję tę spełnia na różne sposoby etyka. Ona to więc pozwala zasadniczo uzasadnić konieczność porzucenia owego, jak powiedziała by John Ellis, *disinterested critical inquiry*⁸, w zamian natomiast wprowadzić i ugruntować przekonanie, że humanistyczne badania są zawsze szczególnego rodzaju postacią *zainteresowania*, bliskości, wzajemnego uwikłania interpretatora i interpretowanego. Przekonanie, że to, kim jesteśmy, nasz światopogląd, uznawane wartości, język, a nawet płęć, nie mają wpływu na to, co w humanistyce robimy, jest kompletnym nieporozumieniem. Nie chodzi wszak o to, by bezmyślnie i bezkrytycznie ulegać swym przesądom. Wymóg etyczny dotyczy bowiem tego, by, po pierwsze, być świadomym własnych przedrozumień, które uruchamiamy w badaniach (dostrzegać, że nie są „niewinne”), po drugie zaś, by zachowywać zdolność do ich rewidowania i otwarcia na pogląd innego/tekstu⁹.

W związku z tym trudno bym nie uznać, że silny związek, nawet emocjonalny, z problematyką moich badań jest oczywistością. Nie chodzi tu wszak o jakąś identyfikację w sensie „złania się horyzontów” interpretatora i tekstu, zachowują one bowiem względną odrębność. Tylko w ten sposób może być utrzymana perspektywa etyczna „ja – ty”. To, o czym mówię, nie jest jakimś

⁶ Vide moja książka *Kim jestem ja, kim jesteś ty? Etyka, tożsamość, rozumienie*, Poznań 2012.

⁷ Vide moje książki *W-koło hermeneutyki literackiej* (Warszawa 2007) i *Kim jestem ja...*

⁸ Vide: John M. Ellis, *Literature Lost: Social Agendas and the Corruption of the Humanities*, New Haven 1999.

⁹ Oczywiście, pojęć przedrozumienia czy przesądu używam tu w sensie Heideggerowsko-Gadamerowskim. Vide: M. Heidegger, *Bycie i czas*, przeł. B. Baran. Warszawa 1994; H. -G. Gadamer, *Prawda i metoda. Wprowadzenie do hermeneutyki filozoficznej*, Kraków 1993.

„nowinkarstwem”, ale pragnieniem wpisania się w najgłębszą tradycję hermeneutyki (np. św. Augustyna czy św. Anzelma z Canterbury), której jedna z prawd brzmi: „uwierzyć, aby zrozumieć, zrozumieć, aby uwierzyć”. Bez tego wyjściowego gestu zawierzenia, sympatii, miłości, zaufania czy otwartości nie ma rozumienia. Dziś hermeneutyce zawierzenia przeciwstawia się czasem hermeneutykę podejrzliwości. Nie wydaje mi się, aby należało absolutyzować tę opozycję. Jest raczej tak, że zawierzenie, sympatia i zaufanie nieustannie podminowane podszyte są obawą, niepewnością, podejrzaniem. Tak jednak być chyba powinno, nie ma w tym nic złego. Warto w tym miejscu z pewnością dodać, że to, o czym mówię, nie oznacza zgody na jakąś „kapryśną impresyjność” czy irracjonalność wyводу. Innymi słowy: nie chodzi więc o stylistyczną egzaltację czy idiosynkratyczność myśli. „Emocjonalny związek z przedmiotem”, o który pytają autorzy ankiety, jest raczej presuponowany, implikowany raczej, niżli tematyzowany.

Można mówić o innym jeszcze wymiarze etyki badań. Wydaje się, że winien on być jakoś w pracach humanistycznych tematyzowany. Myślę tu o tym, że humanistyka winna podkreślać owo „ludzkie”, a zarazem/zatem i „historyczne”, które to wyznaczają jej zasadniczy charakter. Stosunkowo do niedawna jeszcze przedstawiciele humanistyki (celowo używam wciąż tego określenia, a nie formuły „nauki humanistyczne”) wypowiadali swoje przekonania tak, jak gdyby miały one naturę neutralną, niewinną, uniwersalną. Widać to było (niestety, czasem i dzisiaj jeszcze tak jest) zwłaszcza w podręcznikach, których autorzy zdawali się serwować nam obraz świata niejako z boskiego punktu widzenia, a przynajmniej z lotu ptaka. Przekonanie, że dysponujemy, jak powiedziałyby Nagel, spojrzeniem znikąd, czyni nas nieludzkimi, a w konsekwencji immoralnymi. Sytuacja zmienia się dopiero wtedy, gdy jako „badacze” podkreślamy historyczność, kontyngentność, nieostateczność, niepewność naszych przekonań (celowo nie używam słowa: „sądów”). Czy coś w tym złego? Nic. Przeciwnie! Pytanie wyjściowe hermeneutycznie zorientowanej humanistyki brzmi – od Wilhelma Diltheya, jeśli nie wcześniej – następująco: „w jaki sposób to, co indywidualne, jednostkowe, irregularne, zdarzeniowe, wyjątkowe, a nawet subiektywne i osobiste, wynieść można do rangi powszechnej obowiązywalności?”¹⁰. Rzecz jasna, chodziłoby, wbrew Diltheyowi, nie o obiektywizm, lecz o intersubiektywną komunikowalność doświadczenia.

¹⁰ Jest to moja rewizja/poszerzenie pytania sformułowanego przez Diltheya w jego rozprawie *Powstanie hermeneutyki*, [w:] id, *Pisma estetyczne*, przeł. K. Krzemieniowa, Warszawa 1982.

To, co indywidualne (a więc to, czym zajmuje się humanistyka/hermeneutyka) nie może wymagać metody, ta bowiem – co poświadczają nauki przyrodnicze – jest oddana w niewolę ogólnego, powtarzalnego i regularnego. Skoro nie metoda, to co? Odrzucenie prawdy? Ale czy metoda jest jedyną drogą do prawdy? Relatywizm? Nie, perspektywizm raczej (w sensie Nietzschego), świadomość, że rozumiemy zawsze z pewnego punktu widzenia, pewnej perspektywy, a świat odsłania się nam zawsze tylko w jakimś aspekcie. To nie relatywizm. Bardziej już skromne Pawłowe: „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno”. Co więc, jeśli nie metoda? Etyka. To znaczy nieustająca świadomość relacji ja – ty, ja – inny. Zdarzenie, *phronesis*, dialog. W tym dialogu nikt nie wypowiada pierwszego słowa. Nikt z nas nie jest Adamem i Ewą. Nie wyruszamy bowiem od jakiegoś punktu „zero”, lecz zawsze historycznie jesteśmy zanurzeni w wielu różnorodnych tradycjach i trwałych konstruktach kulturowych, przekonaniach i wartościach, które podzielamy na gruncie tych czy innych wspólnot (interpretacyjnych). Dialog to także, a może przede wszystkim (jak przekonująco pokazał to Gadamer), sytuacja, w której nikt nie wypowiada ostatniego słowa. „Ostatnie słowo” kończy dialog, a ustanawia monolog, prawdę ostateczną i bezsporną, opresję. Prawdę nieludzką. Poszukiwać tej prawdy to podążać drogą dehumanizacji.

WOJCIECH KUCHARSKI

PROBLEMY ETYCZNE PRZY BADANIU HISTORII KOŚCIOŁA

Czy historyk ma prawo (a może obowiązek) wykorzystać w swojej pracy, a co za tym idzie – upublicznić każde źródło i informację, do której dotrze? Jest to pytanie nurtujące przede wszystkim historyków zajmujących się dziejami najnowszymi, szczególnie jeśli uzyskane informacje dotyczą osób, które jeszcze żyją lub żyją ich rodziny, znajomi itp. W niniejszym tekście chciałbym przyjrzeć się tej kwestii na przykładzie źródeł związanych z dziejami Kościoła katolickiego. W badaniach nad historią Kościoła¹¹ szczególnie wyraźnie można dostrzec wpływ poglądów badacza na przedmiot analiz. Wszak ów przedmiot badawczy odmiennie definiują historycy świeccy i duchowni, a poglądy religijne, świadomie lub nieświadomie, wpływają na wyniki.

¹¹ Cf. C. Bartnik, *Historia Kościoła*, t. 6, kol. 950–955; K. Dola, *Po co pisano dzieje Kościoła?*, [w:] *Causa creandi. O pragmatyce źródła historycznego*, red. S. Rosik, P. Wiszewski, Wrocław 2005, s. 23–31.

Przed kilkoma laty trafiłem na wspomnienia, a w zasadzie „materiały z teki pośmiertnej”, ks. kard. Bolesława Kominka, ich wydawca we wstępie zastrzegając: „Wydobycie na jaw całej spuścizny pisarskiej po śp. Kardynale Bolesławie Kominku wymaga odczekania. W notatkach bowiem jedna lub druga wzmianka uchyla zasłonę intymnej tajemnicy Człowieka – żąda sekretu lub spodziewa się obiektywnego dystansu czasu. Inny znów fragment zapisu – choć zgoła odmiennej rangi – musi również przetrwać w milczeniu”¹² [podk. W.K.]. Zajmowałem się wówczas głównie dziejami średniowiecza, a dla mediewisty, który cierpi na ciągły niedobór źródeł, takie stwierdzenie było co najmniej dziwne, a wręcz nie do zaakceptowania.

W tym kontekście warto rozważyć dwie kwestie: w jakim stopniu na dylemat związany z ujawnieniem wszelkich informacji dotyczących naszego przedmiotu badań wpływa czas dzielący badacza od momentu wytworzenia tych informacji, a na ile sama ich treść? W odniesieniu do wspomnianej wyżej notatki zastanawiałem się, jakie to informacje wymagają zatajenia. Czy mogły być one dla bohatera książki kompromitujące? Czy może to ówczesna rzeczywistość – państwa skonfliktowanego z Kościołem – narzuciła wydawcy podjęcie cenzuralnych działań, aby nie dostarczać przeciwnikowi ewentualnych argumentów?

Po kilku latach, gdy prowadziłem kwerendy w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej, natrafiłem na materiały, które przysporzyły mi podobnych dylematów. Kościół katolicki był jedną z najbardziej zwalczanych instytucji przez organy państwa komunistycznego, które wykorzystywało do tego celu służby specjalne¹³. Do pracy operacyjnej służby te używały wszechstronnego wachlarza metod i technik, w tym podsłuchu pokojowego, podsłuchu telefonicznego, podglądu fotograficznego, podglądu dokumentowo filmowego, tajnych przesłuchań, kontroli korespondencji i innych¹⁴. Uzyskane w ten sposób materiały służyły do represjonowania osób poddanych inwigilacji tego typu. Dzisiaj są to często bezcenne źródła informacji dla historyków i innych badaczy zajmujących się historią najnowszej Polski.

Ze względu na wytwórcę i cele wytworzenia tej dokumentacji oraz jej bezpośredni wpływ na współczesność dylematy natury etycznej dotyczą każdego badacza próbującego wykorzystać ją w swoich badaniach¹⁵. Czy jednak historycy je dostrzegają? W 2010 roku w „Kwartalniku Historycznym” opublikowano tekst

¹² B. Kominek, *W służbie „Ziem Zachodnich”*, Wrocław 1977, s. 7–8.

¹³ *Metody pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa wobec Kościołów i związków wznianowych 1945–1989*, red. A. Dziurok, Warszawa 2004.

¹⁴ A. Dziurok, *Wstęp*, [w:] *Metody pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa...*, s. 28–29.

¹⁵ Na problem ten zwracała uwagę prof. Marcin Kula. *Vide*: id., *Niemota ubezwłasnowolnionych*, „Pamięć i Sprawiedliwość”, 2002, 1, s. 62–63.

Zdzisława Zblewskiego *Kilka uwag o wykorzystaniu zbiorów archiwalnych IPN w badaniach nad najnowszymi dziejami Polski*¹⁶, który wcześniej został rozesłany do ponad trzydziestu badaczy pracujących na źródłach wytworzonych przez rozmaite służby specjalne¹⁷. Wypowiedzi ośmiu z nich zostały opublikowane¹⁸. Jednak żaden nie potraktował szerzej problemów natury etycznej związanych z wykorzystaniem tego typu materiałów. Jedynie Dariusz Jarosz zaznaczył, że ze względu na skrótowość wypowiedzi pomija dylematy etyczne¹⁹, a Tadeusz Paweł Rutkowski zauważył, że informacje zawarte w tego typu źródłach dotyczą konkretnych ludzi, których można skrzywdzić, jeżeli nie podejmie się odpowiedniego trudu ich weryfikacji²⁰. (Na marginesie można dodać, że większość źródeł historycznych dotyczy konkretnych ludzi, może zatem autorowi chodziło o tych żyjących). Pozostawiam na marginesie moich rozważań kwestię wiarygodności tych materiałów, zresztą podobnie jak w przypadku innych źródeł historycznych powinny one podlegać odpowiedniej obróbce warsztatowej²¹. Może trzeba w tym miejscu zasygnalizować, że informacje wynikające z materiałów przechowywanych w archiwach IPN mogą być także neutralne, jak np. stenogramy kazań wygłaszanych publicznie (warto dodać, że często zachowały się one jedynie w zasobie IPN), itineraria podróży służbowych inwigilowanych osób czy opracowania dotyczące nastrojów społecznych w danym środowisku itp.²², ale często mogą być „wrażliwe”, zastrzeżone, prywatne, których ujawnienia zapewne nie życzyłaby sobie inwigilowana osoba. Jednocześnie zdarza się, że źródła te zawierają istotne, a nawet jedyne wzmianki o interesujących badaczy wydarzeniach czy zjawiskach historycznych. Na marginesie można dodać, że czasami to właśnie te wrażliwe kwestie, czyli życie prywatne, obyczajowość, są przedmiotem badawczym historyka. Tu można dodać, że materiały na ten temat mogą pojawić się także w innych archiwaliach, np. teczkach personalnych archiwów zakładowych²³. Można zatem dostrzec dwie kwestie:

¹⁶ Z. Zblewski, *Kilka uwag o wykorzystaniu zbiorów archiwalnych IPN w badaniach nad najnowszymi dziejami Polski*, „Kwartalnik Historyczny”, 2010, r. 117, 2, s. 61–74,

¹⁷ *Dyskusja wokół tekstu*, „Kwartalnik Historyczny”, 2010, r. 117, 2, s. 75.

¹⁸ Swoje uwagi przedstawili: Błażej Brzostek, Antoni Dudek, Jerzy Gaul, Dariusz Jarosz, Tadeusz Paweł Rutkowski, Stanisław Wiech, Wiktoria Śliwowska, Jerzy Eisler.

¹⁹ *Ibid.*, s. 84.

²⁰ *Ibid.*, s. 88.

²¹ *Vide*: A. Paczkowski, *Archiwa aparatu bezpieczeństwa PRL jako źródło: co już zrobiono, co można zbadać*, „Pamięć i Sprawiedliwość”, 2003, 1, s. 9–21; P. Skubisz, *Falszerstwa dokumentacji operacyjnej popełnione przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa*, „Dziej Najnowsze”, 2010, r. 62, z. 4, s. 49–74.

²² Cf. Z. Zblewski, *op.cit.*

²³ W pewnym stopniu pracę na tego typu materiałach reguluje Ustawa o ochronie danych osobowych z 29 sierpnia 1997 r., a archiwa zabezpieczają się, nakazując użytkownikom

„wrażliwa” treść informacji oraz nieetyczny sposób jej uzyskania. Czy historia ma zatem prawo skorzystać z takich źródeł, a jeżeli tak, to w jaki sposób? Czy może ujawnić tło, kontekst, nazwisko osoby, której informacja dotyczy lub która jest jej autorem, nawet jeżeli dana osoba była poszkodowana przez działania wspomnianych służb, a informacja jest dla niej kompromitująca lub po prostu zastrzeżona? W 2010 roku wspólnie z Dariuszem Misiejukiem wydałem serię dokumentów źródłowych związanych z orędziem biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 roku. Naszym celem było dostarczenie badaczom materiału źródłowego naświetlającego okoliczności powstania oraz reakcję społeczną na ten niezwykle ważny tekst²⁴. Wśród wytwórców opublikowanych przez nas materiałów było MSW, MSZ oraz UdsW. Obok dokumentacji urzędowej, takiej jak szyfrogramy wysyłane z ambasady do centrali, raporty i ekspertyzy, meldunki na temat sytuacji Kościoła w Polsce, plany operacyjne, sprawozdania ze spotkań z duchowieństwem, opublikowaliśmy także doniesienia tajnych współpracowników, notatki ze spotkań z nimi, stenogramy nagrań magnetofonowych z takich spotkań. Pod koniec wstępu określającego zakres wykorzystanych materiałów w tym wydawnictwie dodaliśmy zdanie: „Na koniec należy podkreślić, że publikowane źródła mają różny stopień wiarygodności”, jakby nie było to oczywiste! Uświadamia to, w jak delikatnej materii się poruszaliśmy. Mimo tego, że odnalezione przez nas materiały w jakimś stopniu służyły do represjonowania kard. Kominka, bez większych oporów je opublikowaliśmy, nawet jeśli znajdował się w nich fałszywy obraz opisywanych wydarzeń czy sytuacji, ale będący odzwierciedleniem poglądów na ten temat i w danym momencie funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. Poważne wątpliwości wiązały się z dokumentami, w których pojawiały się informacje, niekoniecznie wiarygodne, a często niepotwierdzone w innych źródłach, dotyczące oskarżeń i pomówień o różne wykroczenia niektórych osób z otoczenia kardynała. W przypadku gdy informacje te znajdowały się w dokumentach istotnych dla tematyki, zostały opublikowane. Dodam w tym miejscu, że dokumenty zostały opatrzone aparatem naukowym zgodnie ze sztuką edytorską (przypisy korygujące tekst i rzeczowe), choć poza wstępem nie zamieszczaliśmy żadnych dodatkowych komentarzy. Osobną kwestią była sprawa identyfikacji tajnych współpracowników. Zdawaliśmy sobie sprawę, że w wielu przypadkach iden-

podpisanie klauzuli o nieujawnianiu odpowiednich danych lub wykorzystaniu materiałów zgodnie z zapisami ustawy. Problem może jednak pojawić się, gdy ktoś przygotowuje biografię osoby, której danych osobowych nie może zdradzić.

²⁴ *Dokumenty*, wyb. i oprac. W. Kucharski, D. Misiejuk, [w:] *Wokół orędzia. Kardynał Bolesław Kominek prekursor pojednania polsko-niemieckiego*, red. W. Kucharski, G. Strauchold, Wrocław 2010, s. 207–381.

tyfikacja jest bardzo trudna, a czasami hipotetyczna. Jako zasadę przyjęliśmy jednak próbę identyfikacji każdego tajnego współpracownika, i w dużej części przypadków to się udało. We wstępie dokładnie opisaliśmy przyjętą przez nas procedurę identyfikacji. Poza tym przy określaniu nazwiska konkretnego tajnego współpracownika stosowaliśmy następującą formułę: „Środki ewidencyjne zachowane w zasobie oddziału IPN w [nazwa miejscowości], oraz [jeżeli się zachowała] zawartość teczki pracy tajnego współpracownika „[pseudonim]” wskazują, że pod pseudonimem „[pseudonim]” został zarejestrowany przez Służbę Bezpieczeństwa [imię nazwisko]”. Następnie podawaliśmy krótki biogram oraz charakter współpracy i bibliografię na ten temat. Jednocześnie zastrzeżliśmy wyjątek, który we wstępie edytorskim został sformułowany w następujący sposób: „Nie podawano bliższych informacji dotyczących kontaktów z SB o osobach, które w dokumentach pojawiają się w innym kontekście”. Przy czym w żadnym przypadku nie był to autor zawartej w dokumencie informacji. Wydaje mi się, że zabrakło jeszcze jednego elementu, który zastosował ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski w swojej publikacji, w której poruszył temat współpracy z resortem bezpieczeństwa duchownych archidiecezji krakowskiej²⁵, mianowicie umożliwienia ustosunkowania się do tych materiałów żyjących osób. Dodam tylko, że większość zidentyfikowanych przez nas tajnych współpracowników już nie żyje.

Nie sądziłem, że kwestia ta może być jeszcze bardziej problematyczna. Niedawno prowadziłem kwerendy w innych materiałach i natrafiłem na stenogramy z podsłuchów pokojowych, w których zarejestrowano treść spowiedzi. Zostawiając na razie na boku kwestie natury etycznej przy wykorzystaniu takiego źródła, warto zauważyć, że badacz, który jest katolikiem, ma obowiązek zachowania tajemnicy zgodnie z Kan. 983 § 2 Kodeksu prawa kanonicznego, który głosi: „Obowiązek zachowania tajemnicy ma także tłumacz, jeśli występuje, jak również wszyscy inni, którzy w jakikolwiek sposób zdobyli ze spowiedzi wiadomości o grzechach”. Za naruszenie tajemnicy zgodnie z Kan. 1388 § 2, grozi „sprawiedliwa kara, nie wyłączając ekskomuniki”. Siłą rzeczy kary kościelne nie dotyczą badaczy spoza Kościoła. Czy jednak mają oni prawo wykorzystać takie informacje? Można w ten sposób skrzywdzić nie tylko konkretnego penitenta, ale uderzyć w sam akt sakramentu pokuty. Zastanawiam się jednak, czy czas nie ogrywa tu istotnej roli i jako przykład przychodzi mi na myśl ostatni, siódmy tom *Bullarium Poloniae*²⁶, w którym wydawcy zdecydowali się wyko-

²⁵ T. Isakowicz-Zaleski, *Księża wobec bezpieki na przykładzie archidiecezji krakowskiej*, Kraków 2007, s. 11.

²⁶ *Bullarium Poloniae literas apostolicas aliaque monumenta Poloniae Vaticana continens*, t. 7, 1464–1471, ediderunt et curaverunt Irena Sułkowska Kuraś i Stanislaus Kuraś,

rzystać akta Penitencjarii Apostolskiej, czyli Trybunału Papieskiego, zajmującego się między innymi sprawami wynikającymi z sakramentu pokuty. W konstytucji *Pastor Bonus* z 13 kwietnia 1744 roku czytamy, że trybunał ten ustanowiono, aby wierni „mogliby bezpiecznie się zwrócić w swoich duchowych chorobach, nawet ukrytych, osobiście albo w tajemnicy listownie, nawet z zatajeniem nazwiska, i natychmiast uzyskać odpowiednie lekarstwo i dyskretne a bezinteresowne leczenie według woli swojej”²⁷. We wspomnianym tomie, należy dodać, że za zgodą kościelną, opublikowano wyjątkowo dużo informacji dotyczących właśnie „spraw sumienia” z lat 1464–1471. Można przyjąć, że materiały te dzisiaj nikomu osobiście nie zaszkodzą. Ale czy nie jest to jednak krok za daleko? Marek Cetwiński w jednym ze swoich artykułów sparafrazował Jeana d’Ormesona, pytając, czy historyk jest „potężniejszy od Boga”²⁸. Odnosił to stwierdzenie do granicy naukowego poznania przeszłości – „Bóg włada bowiem tylko przyszłością: przeszłość wymyka się jego władzy. Ale wówczas na scenie pojawia się historyk...”. Wydaje mi się, że to pytanie można powtórzyć, lecz w kontekście dylematów etycznych: czy jest teren, na który wchodzić historykowi nie wolno?

ANNA KURPIEL

CZY JESTEM PO ICH STRONIE?

ORAL HISTORY W BADANIU WOJNY I PRZYMUSOWYCH MIGRACJI

Badanie historii najnowszej, która jeszcze w jakiś sposób wpływa na życie pewnych osób, grup lub narodów, wprawia badacza w stan całkowitego zawiąkania. Szczególnie gdy bazuje na źródłach wywołanych – historiach opowiedzianych, które nie dość, że są naszpikowane subiektywnymi odczuciami i dużą dawką emocji, to jeszcze stawiają nas twarzą w twarz z żywym człowiekiem, w sytuacji prawdziwego spotkania. Na pierwszy plan wysuwa się więź zbudowana między rozmówcami, którzy dziś nie są już tak bardzo różni względem siebie jak za czasów Marcela Maussa i Bronisława Malinowskiego. Wypraco-

cooperatus Janussio Smołucha et Premislao Stanko, Romae-Lublin 2006. Cf. M.D. Kowalski, *Krytyczne uwagi o najnowszym, Siódmym tomie „Bullarium Poloniae” [Bullarium Poloniae, t. VII, Romae-Lublin 2006]*, „Roczniki Historyczne”, 2007, r. 73, s. 214 n.

²⁷ www.opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/pius_xi/konstytucje/quaedivinitus_25031935.html, data dostępu: 24.05.2012.

²⁸ M. Cetwiński. „Potężniejszy od Boga”? *Historyk a granice naukowego poznania przeszłości*, [w:] *Ad fontes. O naturze źródła historycznego*, red. S. Rosik, P. Wiszewski, Wrocław 2004, s. 19.

wany przez kolonialną etnografię styl kontaktu między „dzikim” a „Europejczykiem” na szczęście nie ma już racji bytu, inny jednak nie został zaproponowany ani przez historyków, ani przez współczesnych etnologów i antropologów. Mimo postulatu naukowej obiektywności dajemy się mniej lub bardziej porwać emocjom, szczególnie gdy opowieść o przeszłości dotyczy spraw trudnych i bolesnych, a któraś z uwikłanych w badaną historię osób lub grup wydaje się bardziej poszkodowana przez los – np. w przypadku wojny lub przymusowych migracji. Często dzieje się tak, że po chwili oddalenia od przeżytego spotkania lub po konfrontacji z innymi źródłami przestajemy zgadzać się z naszym rozmówcą lub wręcz przychodzi nam chęć postawienia go jako wzór negatywny jakiejś postawy, co wtedy?

W mojej pracy początkującego historyka i antropologa nieustannie stają przez problemami natury moralnej i etycznej. Powodem tych niepokojów są macedońscy uchodźcy z greckiej wojny domowej, na których temat piszę pracę doktorską.

PO STRONIE OFIARY? BARDZIEJ MACEDOŃSKA OD MACEDOŃCZYKÓW

Sam temat mojej pracy powstał na poły pod wpływem emocji, gdy w 2008 roku w Skopje trafiłam na spotkanie uchodźców z Macedonii Egejskiej – regionu północnej Grecji, który jeszcze za czasów greckiej wojny domowej zamieszkały był w większości przez ludność słowiańską – Macedończyków. Ponieważ emigracja polityczna z Grecji po trwającej tam wojnie domowej jest w Polsce znana głównie z perspektywy etnicznych Greków, postanowiłam zbadać całe wydarzenie z punktu widzenia Macedończyków – stanowiących do lat sześćdziesiątych XX wieku połowę uchodźców przebywających w Polsce.

Sytuacja Macedończyków wydawała mi się o wiele ciekawsza i bardziej tragiczna niż Greków – i tak jest przedstawiana przez nich samych. Przede wszystkim Macedończycy – w przeciwieństwie do Greków – nie mogli do swojej małej ojczyzny wrócić. Stąd też, zarówno w opowieściach moich rozmówców, jak i w oficjalnej propagandzie Republiki Macedonii, emigracja polityczna z 1948 i 1949 roku jest wciąż wydarzeniem otwartym. Dodatkowego kolorytu nadaje współczesna polityka Macedonii, a szczególnie spór z Grecją o nazwę kraju, emblematy narodowe oraz sytuację mniejszości macedońskiej w Grecji. Grecka wojna domowa i związane z nią uchodźstwo ludności macedońskiej są interpretowane przez pryzmat współczesnego konfliktu, i ta interpretacja bardzo silnie wpływa na pamięć zbiorową narodu, przedstawianą w mediach oraz w jednostkowych opowieściach.

Macedończycy czują się niezwykle osamotnieni, wręcz opuszczeni przez Europę w walce o rację bytu ich kraju i narodu – począwszy od końca XIX wieku, kiedy narodziła się macedońska świadomość narodowa. Stąd emigracja

wojenna wpisywana jest w ciąg tragicznych dla Macedonii wydarzeń, nazywana „golgotą”, „eksodusem”, przyrównywana do wykorzenia i czystek etnicznych. Bardzo łatwo przyjąć tę perspektywę ofiary w świecie podzielonym na swojego i wroga.

NIE JESTEM POLITYKIEM, NIE JESTEM DZIENNIKARZEM

Z drugiej strony Macedończycy bardzo entuzjastycznie i życzliwie patrzą na każdy przejaw zainteresowania historią ich narodu. Wiele osób jest mi pomocnych – pracownicy archiwum w Skopje, członkowie organizacji macedońskich, moi rozmówcy. Jednocześnie jednak większość widzi we mnie kogoś, kto swoją pracą ma rozpowszechnić wiedzę o macedońskiej krzywdzie, napisać ich własną wizję historii, a może nawet zaalarmować wyższe instancje europejskiej sprawiedliwości. Koło się zamyka – ponieważ chętniejsi do współpracy są aktywiści, bojownicy, działacze, i to ich punkt widzenia jest najbardziej widoczny.

Problem autoprezentacji i roli, jaką antropologowi/ historykowi przypisują rozmówcy, nie jest oczywiście nowy. Wiele osób po prostu o etnologii lub antropologii nie słyszało, a historia kojarzy im się bardziej z bitwą pod Grunwaldem niż z własnymi przeżyciami. Niekiedy dla wygody, nieraz z braku czasu nie prostuję mylnych przekonań – na temat mojej osoby, historii, polityki itp. – trudno przecież polemizować z osobą, która poświęca dla nas czas, opowiada o sprawach dla niej najistotniejszych, bo o swoim życiu. W sytuacji wywiadu staję „po stronie” moich rozmówców i pocieszam się, że nie jestem w tym jedyna.

Równocześnie chwieje się w posadach postulat polifoniczności głosów narracji w pracy opartej na historiach mówionych, wzięty choćby już od *Sancheza i jego dzieci*, gdyż to, co sam rozmówca chciałby przekazać, i to, co można później napisać bez zyskania miana „naukowca zaangażowanego” lub „bojownika o...”, zdecydowanie różni się od siebie. Jest to moim zdaniem problem właściwie bez rozwiązania – nie można uniknąć życzliwości, sympatii, empatii względem drugiego człowieka ani głosu rozsądku, który w pracy naukowej każe odłożyć sentymenty na bok.

CZYJE ZDROWIE PSYCHICZNE?

Po przekroczeniu granicy zaangażowania i współczucia – którego jednak nigdy nie da się do końca uniknąć, nabrałam odpowiedniego dystansu i piszę historię inną, niż napisaliby moi rozmówcy lub inny Macedończycy, którzy byli mi chętni pomóc. Wciąż jednak tkwi we mnie niepokój, że w jakiś sposób wykorzystuję życzliwe mi osoby i ich otwartość względem mnie. W dużej mierze wynika to z faktu, że wybrany przeze mnie temat jest daleki od neutralności, wciąż czyhają na mnie pułapki „perspektywy ofiary”, emocjonalnej interpretacji faktów, a także „bycia lojalnym wobec”.

Chciałabym, żeby moi rozmówcy odnaleźli się w napisanej przeze mnie pracy, mam jednak świadomość, że wielu z nich byłoby urażonych, że nie spełniłam misji, którą mi przypisali. Stąd do tej pory nie zdecydowałam się na pokazanie im żadnego z opublikowanych przeze mnie artykułów na macedoński temat. Pozostawiam nasze wzajemne relacje na etapie spotkania, rozmowy, personalnego kontaktu, traktując – dla własnego zdrowia psychicznego – zapisane w formie audio wypowiedzi jako skończoną, wielowymiarową i otwartą na różne interpretacje całość

PAWEŁ SOWIŃSKI

HISTORIA ZAWSZE MORALIZUJE

Za co byśmy się nie zabrali, od razu dopada nas moralność. Historia jest częścią życia, częścią współczesnością wikła nas więc również w te problemy. Dokucza tylko fakt, że wiele z nich wydaje mi się nierozstrzygalnych w sposób jednoznaczny. Mnie, historyka historii najnowszej, najbardziej intryguje relacja między potrzebą pisania o historii a wpływem tego rodzaju dociekań na czytelników i bohaterów naszych opowieści, zarówno jednostkowych, jak i zbiorowych.

Historia wchodziła w moralność ostro i bez dużej asekuracji. Bywała mocno upolityczniona, walczyła na rozmaitych „frontach ideologicznych”, wcześniej służyła na różnych dworach, była traktowana jako narzędzie władzy, sprawowania kontroli, choć też bywało na odwrót stawała się orężem ruchów wolnościowych. Choćby te doświadczenia z przeszłością historii na tyle bogate i dobrze udokumentowane prowokują do rozmyślenia na temat związków historii i ideologii.

Historia zawsze jakoś moralizuje. Takie skłonności to zapewne głęboko zakorzeniona norma kulturowa, taką mamy naturę można by rzec. Ale konkretne ramy moralności są już regulowane przez obyczajowość epoki. Dawniej starano się na przykład rozgraniczać między życiem publicznym a prywatnym opisywanych przez nas ludzi. A w ramach tego ostatniego nie odsłaniać najbardziej intymnych szczegółów, szczególnie wówczas gdy jak się zdawało nie miały decydującego wpływu na przebieg politycznej kariery. Do dzisiaj zresztą historia społeczna w Polsce nie dorównuje liczbą publikacji historii politycznej.

Tę ostatnią zanim zrobią to historycy próbuje się również poddawać pewnej „obróbce moralnej”, i to już na poziomie udostępnienia materiału. W archiwach państwowych obowiązują tak zwane karencje archiwalne, tj. okresy dopuszczenia do użytku historyków niektórych dokumentów. Decydują tu co prawda względy urzędowe, ale moralność także odgrywa swoją rolę. Tak postępują

również sami świadkowie wydarzeń w składanych relacjach, w których to reglamentują swoją wiedzę, m.in. z powodów moralnych.

Właściwie wszyscy mamy problemy z mówieniem wszystkiego i do końca. Myślimy ciągle, jak to nasze mówienie może wpłynąć na opinię o nas i o innych ludziach. Zawsze występuje taka moralna autocenzura. Upływ czasu ma dla tych spraw pewne znaczenie, ale ich nie unieważnia. Delikatne kwestie przestają jednak być bardzo drażliwe, gdy zajmujemy się historią odległą, już społecznie ostygłą, dawno przebrzmiałą. Ale gdy jeszcze żyją ludzie lub pamięć o nich, wtedy wzrasta presja moralna.

W swoich badaniach czasami ją czułem. I to chyba jest nieuniknione w świetle tego, co już zostało powiedziane. Na dodatek historia operuje prawdziwymi nazwiskami, bo o taki konkret tu często chodzi, a nie o zjawiska. Zdarzało mi się omijać takie sprawy, których wyjaśnienie po latach wydaje mi się beznadziejnie trudne, a zebrane przez mnie dane są wątpliwe, by nie szkodzić ludziom uwikłanych w analizowane wydarzenia. Mam bowiem poczucie, że moje pisanie nie powinno wyraźnie pogarszać reputacji osób żyjących, szkodzić ich interesom, zakłócać im życia na starość. Tym bardziej że nigdy nie dysponujemy pełnią wiedzy, kompletem źródeł, jesteśmy omylni.

Gdy używam takich źródeł, jak: listy prywatne, donosy agentów policji lub policyjne podsłuchy, myślę o moralności. Szczególnie wówczas gdy nie mam możliwości skonfrontowania ich z pamięcią świadków, z innymi materiałami lub w przypadku korespondencji zapytać o pozwolenie. Ale na czym konkretnie polega mój niepokój? Generalnie opiera się na moim wycuciu sytuacji, na pewnych wyobrażeniach na temat tego, co wykracza poza dobre obyczaje, a co pozostaje z nim jeszcze w zgodzie. Tak naprawdę czytelnik nie dowie się do końca jeżeli sam nie przeprowadzi żmudnego dochodzenia co w moich tekstach było wybierane, jak i dlaczego.

Moralność w historii ma jednak również aspiracje odwrotne. W końcu nie można ciągle chować się za podwójną gardą zastrzeżeń. Zadaniem historyka jest stworzyć obraz, który będzie czymś więcej niż tylko rejestrem cudzych wspomnień. Jest w nas przecież chęć pisania zgodnie z własnym patrzeniem, bez nadmiernego oglądania się na świadków, na ich podszepty, na ich legendy. Historyk jest suwerenny powiada się czasami. Powinien uwzględniać różne głosy, ale ma prawo do własnego zdania. Książka to ma być jego wizja, niekoniecznie sielankowa. Jest cała tradycja takiej krytycznej, rozrachunkowej historiografii. I trudno powiedzieć, że jest ona niemoralna.

W ogóle niezwykle rzadko zdarza się tak, by ktoś celowo chciał być niemoralny. Czasami, właściwie coraz częściej, odnoszę jednak wrażenie, że moralność i niemoralność dzieli tylko cienka granica i łatwo się narazić na zarzut jej przekroczenia. Nie jest ona także szczególnie dobrze wytyczona. W gruncie

rzeczy linia ta przebiega bardzo indywidualnie. Zależy w niemałym stopniu od systemu wartości badacza. Co dla jednych jest moralnością, dla innych może być właściwie jej zaprzeczeniem to chyba najbardziej zdumiewające w tych naszych staraniach moralnych.

Historia nieraz próbowała omijać pułapki subiektywizmu. Trzymanie się chronologii, drobiazgowy wywody faktograficzne, język konkretny, czasem suchy jak wiór to wszystko miało nas, historyków, wybawiać od wikłania się w wątpliwe spekulacje myślowe, które mogą być jedynie moralne, a więc zideologizowane. Moralisci kontra faktografowie tak czasami wyglądał podział w tym środowisku. Ale okazywało się potem, że sam dobór faktów, sposób ich ułożenia nawet, jest również osądem, pewną konstrukcją historyka, wytworem jego moralności. Na dodatek pisanie w konwencji biurokratycznego sprawozdania czy raportu pozbawiało historię całego uroku opowieści.

Z kolei w zbiorowych wyobrażeniach na temat historii dość silnie dawała znać o sobie potrzeba nie tyle ciekawej opowieści, ile prawdy, często zresztą niezbyt zniuansowanej, czarno-białej, mającej stawiać społeczeństwo w dobrym świetle. Historyków traktowano jako ludzi, którzy muszą do niej dotrzeć. Jakby byli współczesnymi szamanami. Powtarzano też, że na historyku ciąży ogromna odpowiedzialność. Przejawem takiego nastawienia jest dla mnie choćby rota przysięgi doktorskiej. Tak wysokie wymagania zazwyczaj rozmijały się z naszymi możliwościami, ale też powodowały, że każdy fragment napisanego przez nas tekstu traktowano przesadnie poważnie.

Spółeczeństwo uważało niekiedy, że książka historyka to świadectwo moralności o epoce i jej ludziach; że to, co napisał, zostaje jako materialna prawda, która to prawda jest ważnym przekazem dla potomności. W tej konwencji historyk zaciągał poważne zobowiązania moralne wobec narodu albo wobec jakiejś innej grupy ludzi. Duże zainteresowanie historią, które jeszcze do niedawna towarzyszyło pracy nawet nad ambitną literaturą naukową, wzmagало takie przekonanie. Co prawda wiązało się to zazwyczaj z wyrazami uznania dla historyka i raczej podwyższało jego pozycję na drabinie społecznej, niekiedy jednak wywoływało ostrą krytykę, groziło napiętnowaniem.

Dzisiaj słowo pisane zdewaluowało się trochę i to, co napiszemy, nie wywołuje już takich emocji. Nie przypominam sobie, by ktoś patrzył na mnie jak na mistycznego posłańca prawdy. Problemem młodych historyków często nie jest zawartość (moralność) ich dzieł, ale brak zainteresowania ze strony szerszej publiczności. Wokół nas jest tyle publikacji, wszelkiej informacji, coraz bardziej zróżnicowanej. Tymczasem waga moralności łączy się z zasięgiem rozpowszechniania i odbioru dzieła. Gdy społeczna siła rażenia książki jest niewielka, to wtedy inaczej, zazwyczaj słabiej, przeżywamy, to, co naszym zdaniem może być naruszeniem norm postępowania.

Czytelnicy dorastający już w dzisiejszym pluralistycznym otoczeniu, lepiej też zdają się rozumieć, że z historii nie wyjdziemy z jedną wersją prawdy. Widać to wyraźniej niż dawniej. Pojawiają się nawet zdania, że historia nieuchronnie wraca do nas mitem, i na to nie ma rady. Coraz częściej o ludziach pisze się też ostro, bez taryfy ulgowej, jak w przypadku głośnej książki o Ryszardzie Kapuścińskim, co jest dla mnie dowodem na to, że zmienia się nam również moralność. Coraz więcej się dzisiaj ujawnia, dawniej nasze życie było bardziej schowane.

Opinia publiczna jest wokół takich spraw podzielona. Historycy również. Nie ma jednej, uniwersalnej miary moralności w historii można by wnioskować ze sporów, które dzisiaj prowadzimy. Są różne punkty widzenia, różne wrażliwości, różne style odbioru. To, co dla jednych jest wstrętne, dla innych staje się odważne. Nie ma ostatecznego arbitra w tych dyskusjach, może poza biologią, która kiedyś nas i nasze rozterki z tego świata zabierze. Póki żyjemy, sami musimy zadecydować, komu ufamy, co jest moralne.

Narasta we mnie świadomość, że jest to sfera sporna, pełna ocen, jak to zwykle bywa, wieloznacznych i ze sobą konkurujących. Moje doświadczenia już nawet nie zawodowe, ale życiowe po prostu prowadzą mnie jednak uparcie do wniosku, że etyka jest sprawą podstawowej wagi i należy się nią kierować, tak jak ją sami pojmujemy. Pisanie o historii powinno podlegać regułom moralnym, to nie jest sprawa zupełnie dowolna, albo wręcz nieistotna. Moralność choć czasem nas dzieli nadal przecież nas mocno łączy. Gdyby nie ona, to popadlibyśmy najpewniej w zbiorowy nonsens, przestalibyśmy w ogóle być wspólnotą.